

Do Andrzeja Szczeklika (list wydawcy)

Andrzeju Kochany!

Jak wiesz, coraz więcej moich autorów swoje nowe książki wydaje w konkurencyjnej, niebiańskiej oficynie. Ksiądz Józef Tischner, Ryszard Kapuściński, Czesław Miłosz, Leszek Kołakowski, Wisława Szymborska. Wielu z nich – i tylu innym – przedłużyłeś o ładnych kilka lat życie. A teraz sam do nich dołączyłeś. Co Cię podkusiło? Czyżby tam oferowali wyższe zaliczki? Urządzali huczniejsze promocje? Pięknie wydawali książki?

W relacjach z autorami zawsze najwyższemu cenilem wzajemną lojalność. Od biznesu ważniejsza była możliwość poznania nowych, ciekawych ludzi, szansa na przekształcenie tej znajomości w przyjaźń – taką jak nasza – oddanie i troska, by Wasze książki były jak najpiękniejsze, docierały do jak najszerszych kręgów czytelników, były tłumaczone na obce języki. Czemu mi to zatem robicie?

Andrzeju – nie spotkasz tam przecież grafika tak wspaniałego jak Olgierd Chmielewski, dzięki któremu Twój podręcznik *Choroby wewnętrzne*, opublikowany przez Medycynę Praktyczną, jest chyba najpiękniej wydany podręcznikiem świata, a nasze *Katharsis* i *Kore* najbardziej wypieszczonymi książkami w 50-letniej historii Znak. Ileż radości sprawiało Ci dobieranie z Olgierdem ilustracji – ręcznie wklejanych przed każdym rozdziałem bądź drukowanych sangwiną na jego zakończenie. Jak cieszyłeś się urodą tych książek, ich sukcesem, przekładami – na angielski, rosyjski, francuski, węgierski, hiszpański, niemiecki, litewski. Przecież lada moment *Kore* ukaże się w Niemczech u Herdera, w Counterpoint Press w Kalifornii, w oficynie Acantilado w Barcelonie. Powinieneś wziąć te książki do ręki. Powinniśmy oblać to – czym tylko zapagniesz (ja stawiam): Twoją ulubioną 12-letnią szkocką Balvenie albo zieloną litworówką – jak z Seamusem Heaneyem na tarasie Twego drewnianego domu w Kościelisku, albo schłodzonym Pinot Griggio – jak w ogródku Corleone z Twoją znakomitą tłumaczką Antonią Lloyd-Jones. Jak wolisz – może to być Old Bailey, który nauczył mnie pić z lodem mimo trzaskającego w Wilnie mrozu, od którego – jak wyznałeś – pierwszy raz w życiu rozboleła Cię zęba. Może też być Guinness, który w pubie na Achill Island piliśmy szczęśliwi z sokiem z czarnej porzeczki. Pomyśl – ile butelek zostało nam jeszcze do opróżnienia...

Dobrze pamiętam, jak pierwszy raz – zapowiedziawszy się telefonicznie – odwiedziłeś mnie w Znaku, kładąc na stole niebieską teczkę z wydrukiem *Katharsis*. Zapamiętałem swoje onieśmienie wizytą legendarnego profesora, Twoją nienaganną elegancją i zniewalający, skromny uśmiech. Podtytuł „O uzdrowicielskiej mocy natury i sztuki” wprawił w lekką konsternację część redakcji, działu handlowego i marketingu. Usłyszałem od kogoś: „Trudno, ty się u niego leczysz, prezes się u niego leczy, nie mamy wyjścia. Trzeba wypełnić ten serwitut i wydać półtora tysiąca egzemplarzy”. Przyznam szczerze, że mnie samemu nie śnił się jeszcze aż taki sukces *Katharsis* i *Kore* – wszystkim opadły szczęki, gdy najpierw jedna, a potem druga książka sprzedawały się rewelacyjnie i były stale dodrukowywane. Ich łączny nakład dobija dziś do 80 tysięcy egzemplarzy, *Katharsis* została nagrodzona przez Bibliotekę Raczyńskich (to wtedy w Poznaniu wypi-

liśmy bruderszaft), *Kore* była nominowana do Nagrody Nike, obie książki miały fantastyczne recenzje, kupowano je jako idealny prezent dla lekarzy, a wielu z nich w czasie spotkań autorskich – sam słyszałem – dziękowało Ci za to, że przywróciłeś godność ich profesji.

W czerwcu miałeś oddać nam trzecią książkę złożoną z Twoich esejów: *Nieśmiertelność*. Ten tytuł zobowiązuje. Liczę, że dotrzymasz słowa. Już przecież dobierałeś z Olgierdem reprodukcje Twoich ulubionych dzieł sztuki, już dałeś mi zdjęcie na tylną stronę okładki.

A dalsze plany... Dawno nie widziałem, żeby tak błyszczały Ci oczy, jak wtedy, gdy rozmawialiśmy o książce, która miała być Twoim największym bestsellerem – wymarzonej *Mojej prywatnej historii medycyny*. Nikt inny nie miałby prawa tak swego dzieła zatytułować.

Opowiadałeś także wielokrotnie o dziele, do którego napisania „zobowiązał” Cię Czesław Miłosz – *Ars bene moriendi*. Byłem przekonany, że jedynie Ty mógłbyś je napisać. Wystuchałeś wielu opowieści ludzi powracających „z tamtej strony”, także samego Miłosza – choć z właściwą sobie dyskrecją nie ujawniałeś szczegółów. Teraz nigdy już ich nie poznamy.

W oczekiwaniu na te książki namówiłem Cię – po pokonaniu wielkich oporów przed mówieniem o sobie – na nagrywanie rozmowy-rzeki. Chciałem zrozumieć – ja i Twoi czytelnicy na pewno też – skąd bierze się ktoś tak niezwykły. Co? kto? jacy nauczyciele? doświadczenia? książki? – uformowały kogoś tak niepowtarzalnego? Jacy poeci, kompozytorzy, malarze, mistrzowie sprawili, że mieszkało w Tobie tyle osobowości, że porażałeś erudycją i wiedzą – znajdując jednocześnie czas na jazdę na nartach i wyprawy w góry, przewodniczenie międzynarodowym kongresom i pozyskiwanie grantów na badania naukowe, odwiedzanie bladym świtem i późnym wieczorem najciężej chorych w Twoim „Hotelu snów”? Tak nazwał klinikę na Skawińskiej Piotr Skrzynecki, którego pomnik stoi dziś przed nią, ufundowany przez Ciebie za prywatne pieniądze z „polskiego Nobla” – Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Nasza rozmowa ruszyła wartkim strumieniem, ale nie zdążyła przekształcić się w płynącą szerokim nurtem rzekę. Muszę coś z tymi Twoimi opowieściami zrobić. O łowieniu z chłopakami gołą ręką ryb w rzece w rodzinnym Pilźnie. O laboratorium w Sheffield, nieopodal „wichrowych wzgórz”, w którym z Johnem Martinem prowokowaliście zawały u biednych szczurów, żeby zobaczyć, jak można je uratować. O nocnych dyżurach na oddziale „Emergency” nowojorskiego szpitala, gdzie po raz pierwszy zszywałeś odcięte ucho pokiereszowanego czarnego narkomana. O studenckim zarobkowaniu: granitowych słupkach granicznych wynoszonych w plecaku na szczyty Tatr z góralami, którzy urządzali Ci chrzest bojowy spirytusem. O Twoich ukochanych: Arturze Benedettim Michelangelim i Marcie Argerich... Wszyscy, którzy Cię kochali i podziwiali, powinni te opowieści poznać. Mimo że wiem, iż choćby były nie wiadomo jak fascynujące, barwne i bogate – i tak nie odsłonią Twojej Tajemnicy.

Te ostatnie tygodnie były jak zły sen. W pokoiku na piętrze w Kościelisku budzą mnie dźwięki fortepianu. Schodzę cicho po schodach. Nie słyszysz mnie, zatopiony w lekturze nut na pięciolinii. To chyba sonata Liszta...

Jerzy Illg

Redaktor Naczelny Wydawnictwa Znak